



foto Kinga Karpak

LUPA W STUDNI NARCYZMU

AUTOR: JACEK KOPCIŃSKI

Film Piotra Stasika i Doroty Wardęszkiewicz *Spróbujmy skoczyć do studni* na tegorocznym festiwalu Millenium Docs Against Gravity został wyróżniony w kategorii „najlepszy film polski”. Po zakończeniu festiwalu przez kilka dni można go było jeszcze obejrzeć w sieci, ale zniknął, zanim krytycy zdążyli przyjrzeć mu się dokładnie. Tylko Witold Mrozek w „Wyborczej” i Stanisław Godlewski w „Dialogu”, autorzy tropiący różne formy przemocy w teatrze, film skomentowali. Inni albo go nie widzieli, albo być może uznali, że niczego nowego o Lupie się z niego nie dowiedzieli. Wiadomo, że sam reżyser nie był zadowolony z efektu pracy dwojga dokumentalistów, początkowo nawet próbował nie dopuścić do premiery filmu, o czym Stasik powiedział na antenie Radia TOK FM. W końcu jednak dał się przekonać. Film jest przecież całkowicie skoncentrowany na osobie reżysera.

Kamera towarzyszyła Lupie na próbach do *Procesu* według prozy Kafki. Oglądamy wyłącznie zapis pracy reżysera z aktorami, opatrzone skąpymi informacjami wyświetlanymi na ekranie. Żadnych komentarzy, objaśnień, uzupełnień. Czysta relacja, wypreparowana z wielogodzinnych rejestracji i oczywiście zmontowana. Film trwa niespełna pięćdziesiąt minut. Przez ponad pół godziny Lupa rozwija swój „wewnętrzny” monolog wobec całkowicie biernych aktorów, natomiast ostatni kwadrans filmu poświęcony jest jego kłótni z Piotrem Skibą, który próbuje jedną z końcowych scen przysłanego spektaklu.

Najbardziej uderzające jest w filmie milczenie zespołu. Reżyser mówi, aktorzy odpowiadają mu ciszą, jakby próba teatralna nie polegała na

wymianie. Monologi Lupy są jednak bełkotliwe, trudno więc o jakąś interakcję. Artysta tłumaczy coś poszczególnym aktorom albo krąży po sali, wyrzucając z siebie strzępy myśli. Raz mówi cicho i monotonna, innym razem donośnie i z emfazą. Czasami krzyczy, przeklina, nikogo to jednak specjalnie nie porusza. Nawet Ewa Skibińska, niewątpliwie najlepsza kandydatka na „ofiara” w zespole Powszechnego, słysząc kierowane do niej przekleństwa, nie odzywa się ani słowem. Realizatorzy filmu wyjaśniają w napisach, że niezwykle wulgarna kwestia Lupy, rozpoczynająca się pytaniem: „Chcesz nową porcję gówna?”, należy do postaci, ale przecież nie napisał jej Kafka.

Stasik wspomina, że gdy po raz pierwszy wszedł do sali prób, był przekonany, że spektakl jest już gotowy. Tymczasem czekał go wielodniowy maraton zamęczania profesjonalnych aktorów, którzy zbyt pewnie poczuli się w swoich rolach, dlatego mieli zostać wewnętrznie rozbici. „To jest tak naprawdę nie do wytrzymania” – mówił na antenie autor filmu, całkowicie znokautowany „metodą” reżysera, którego w przeszłości podziwiał. „Dla mnie w ogóle bycie tam było wielką męką, zakończoną tym, że chciałem zrezygnować z robienia filmów i zajmowania się sztuką. Krystian męczy siebie i innych tak bardzo, że właściwie powiedziałem: koniec”.

Film jednak powstał, a jego twórca nie porzucił zawodu. Przeciwnie, usprawiedliwił Lupę, odwołując się do romantycznej koncepcji sztuki jako paktu z szatanem, zawieranego z pragnienia duchowej „transcendencji”. „Muszą zgrzeszyć, nawet mocno, ale to jest cena” – tłumaczył strategię podobnych mu „geniuszy”. „Aktorzy się na to zgadzają, wszyscy są dorośli” – przekonywał, jakby jedynym prawem aktorów była rezygnacja z udziału w spektaklu.

Absurdalna scena kłótni nie rozładowuje ciężkiej atmosfery prób. Skiba przekonuje reżysera, że leżąc z prawej strony łóża, nie może wstać z lewej. Lupa natomiast upiera się, że tylko wtedy, gdy aktor wstanie z lewej, a więc przeczolga się przez całe posłanie, jego gest nabierze „ekstremalnego” charakteru. Gotowy jest mu to udowodnić i zdejmuje nawet spodnie, zapewniając jednocześnie o swojej głębokiej „intuicji” takiego rozwiązania. Skiba, życiowy partner reżysera, traktowany jest przez niego inaczej niż pozostali aktorzy. Dlatego w ogóle wolno mu się odezwać, a nawet wzywać innych do buntu. Ale jak się buntować przeciwko artyście, który zapala się na widok rozgrzebanej pościeli?

Bełkot Lupy stał się już tematem rozpraw teatrologów. Można się z nich dowiedzieć, że snując swoje niekończące się „no wiecie... to jest takie...”, reżyser dociera do nieświadomych pokładów psychiki pracujących z nim ludzi. Raczej wątpię. W filmie widzimy zdolnych zawodowców, którzy dobrze wiedzą, że podczas prób z Lupą zawsze przychodzi taki moment, kiedy reżyser „uwalnia swojego wewnętrznego wariata” (jak to sam kiedyś określił). W milczeniu znoszą więc jego chaotyczne słowa, dziwaczną gestykulację, wulgarne skojarzenia, okrzyki i przekleństwa. Lekko nie jest, dlatego cieszą się, gdy artysta ma lepszy humor i próbuje z nimi zatańczyć tango. Choć podskakuje przy tym jak przedszkolak, to przynajmniej przez chwilę są razem, patrzą sobie w oczy.

W pozostałych scenach filmu nie czuje się już między nimi takiego porozumienia. Przepływ energii, inspiracja, choćby błysk? Nic podobnego. Jakby w pracy nad spektaklem wcale nie chodziło o wspólną kreację, ale o karmienie afektów narcystycznego lidera. Skandalem to nie jest, ale trochę smuci. ■